

Iwona Żytkowiak

OPOWIEM CI O SAMOTNOŚCI



Masz prawo do miłości,

masz prawo do marzeń

Iwona Żytkowiak

OPOWIEM CI
O SAMOTNOŚCI



Copyright © 2026 by Iwona Żytkowiak
Copyright for this edition © 2026 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Anna Płaskoń-Sokołowska

KOREKTA: Dominika Surma

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

WYDANIE I

ISBN: 978-83-8412-665-3

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Ossowska

Spis treści

I Ona – Nina

II Ja – Joanna

*Ona – Nina,
ja – Joanna*

I

Ona – Nina

Joanna głąskała twarz matki, tak jakby sądziła, że ruch jej palców – konsekwentnie jednostajny, zmierzający ku dołowi – naciągnie skórę, wygładzi, sprawi, iż stanie się ona jednolita niczym naciągnięty na blejtram jedwab. Oczy – szare, dawno już pozbawione blasku i głębi, patrzyły nieruchomo na ścianę, której dół pokrywała tandetna lamperia, a kanarkowożółta góra ubrdana była szlaczkiem w brązowe kiście winogron, pozostałością po dawno zapomnianym remoncie. Nie było pieniędzy. Takie czasy! Na nic nie było pieniędzy. Szpital tonął w długach, raz po raz straszili zamknięciem, a wtedy nikomu nie będą przeszkadzały odrapane ściany, stare łóżka i przeciągi hulające po całym budynku, że strach nos wyściubić spod obleczonego w poźółkłą poszwę koca, by nie złapać dodatkowo jakiegoś dziadostwa. Sama myśl, że trzeba by było jeździć dokądś kilkadziesiąt kilometrów, powodowała, że człowiek zwieszał pokornie głowę, by nie widzieć tych odstręczających ścian, popękanych kafelków w toaletach, spłoszonych rybików, czmychających przed światłem w zakurzone kąty.

Kobieta miała szczelnie zamknięte oczy, tylko nieregularna linia wskazywała miejsce, w którym stykały się powieki, skrywające kolor tęczówek. Spała – a może tylko udawała, że śpi. Cienka strużka śliny toczyła się głębokim korytem zmarszczki. Wyglądała niczym szmaciana lalka, miękko leżąca na łóżku, z bezwładnie rozrzuconymi rękami. Tylko jej

palce się poruszały, tak jakby przesuwała w nich lekką tkaninę lub bibułkę. U obu rąk synchronicznie, w tym samym tempie. W powietrzu unosił się kwaśny zapach trawionego alkoholu.

– Znowu się nawaliła! – Łukasz wpadł do sali, nerwowo wskazując na leżącą matkę, jakby chciał rzucić jej w twarz: „To ty!”. Żadnego powitania, żadnego względu dla dwóch kobiet zwiniętych na pryczach przy oknie, za którym rozciągał się widok na zapuszczony przyszpitalny park, porośnięty starodrzewem, niegdyś pełnym hasających wśród gałęzi wiewiórek.

Nagle, jak na komendę, obie pacjentki wyciągnęły głowy i spojrzały w jego kierunku. Chyba dostrzegł przyganę w ich oczach, bo burknął pod nosem coś w stylu „dzień dobry”, a może „przepraszam”. Następnie energicznie zdjął kurtkę, machając nią w powietrzu. Materiał zaszeleścił, w kieszeni coś zachrobotало, ponownie burząc spokój szpitalnej sali.

Mężczyzna stanął przy łóżku i wbił wzrok w matkę. Złość i gniew buzowały w nim tak, że nie trzeba było nawet go znać, by wiedzieć, że za moment eksploduje. Kąciki ust unosiły się asymetrycznie.

– Mamo! – powiedział stanowczo. – Coś ty znowu wywinęła?

Joanna obrzuciła brata karcącym spojrzeniem, po czym chwyciła go za rękę.

– Zostaw. Niech śpi.

Ale on, jakby zupełnie nie zważał na jej uwagę, rzucił głośniejsze:

– Mamo! Mówię do ciebie! Słyszysz?

Przez chwilę zdawało się, że zaraz szarpnie leżącą matkę, ale powstrzymał się pod wpływem wzroku siostry i kobiet leżących po sąsiedzku. Oparł tylko rękę o metalową poręcz łóżka, które stęknęło cicho.

Nina nieznacznie drgnęła, ale zaraz mocniej zacisnęła powieki, jakby chciała dać synowi do zrozumienia, że nie zamierza z nim rozmawiać. Nie teraz. Nie tutaj. Bolała ją głowa, gardło miała wysuszone na wiór,

a w trzewiach paliło ją żywym ogniem. Nie umiała sobie przypomnieć, jak tu trafiła... Z trudem dochodziła do niej świadomość, że jest w szpitalu. I nawet nie tyle surowa sceneria, nie tyle prostota pomieszczenia, ile wbijający się ostro w nozdrza zapach lizolu utwierdzał ją w tym przekonaniu. W jej głowie kołatały się obrazy i dźwięki: niebieskie światła, przenikliwy sygnał syreny wwiercający się w mózg, twarde mocowania pod głową na niestabilnych noszach... W którymś momencie urwał jej się film. Jakieś pojedyncze kadry to pojawiały się, to znikwały, ostatecznie pozostawiając w głowie absolutną pustkę.

Lucjan ją zdenerwował... Tak trudno było z nim wytrzymać. Nie rozumiała go.

Ale to było rano, koło dziesiątej. Chyba... Dzień wcześniej było pięknie. Klócili się o to, dokąd wyjechać na wakacje. On planował Egipt, i to konkretnie: Tabę czy Hurghadę. Jej tak naprawdę było obojętne – zarówno Taba, jak i Hurghada były dla niej w równym stopniu egzotyczne. Tego dnia jednak wszystkie kurorty Egiptu były daleko poza jej orbitą. Tego dnia ona – Nina, o której trudno było myśleć w kategoriach piękna, subtelności czy seksapilu, chciała na powrót stać się kobietą. Próżną. Roszczeniową. Młodą... Chciała kupić sobie upatrzoną kilka dni temu sukienkę. Zawsze lubiła sukienki, spódniczki, bluzeczki. Nic nie satysfakcjonowało jej tak jak nowa rzecz. Nie wiedziała nawet, skąd u niej taka inklinacja do fatałaszaków, ale po co było jej to wiedzieć. Po prostu taka była.

Już nawet zgodziła się z właścicielką sklepu co do ceny. Tamta upuściła tyle, że pewnie można by pomyśleć jeszcze o torebce.

– Byłam dzisiaj w mieście – oznajmiła, kątem oka sprawdzając jego reakcję. – W rynku, w tym sklepie po schodkach... Wiesz, tam, gdzie kupowałam garsonkę do ślubu...

Lucjan drobił jajecznicę, nadziewając zwarte kawałki na widelec. Nina obserwowała go czujnie.

– Widziałam sukienkę. Ładna – zrobiła krótką pauzę. – Może bym sobie kupiła? – zakończyła pytaniem, ściszej głos i zwieszając głowę.

Mężczyzna na moment zamarł, jakby zawisł w czasie, ale zaraz podniósł wzrok i zapytał:

– Mało tego masz? – Kawałkiem kromki wycierał talerzyk, zgarniając resztki.

– Mam, ale stare...

– Nie przesadzaj! Co rusz znosisz do domu jakieś torby, a w nich ciuchy. Myślisz, że tego nie widzę? Nie jestem ślepy!

– Ty chyba żartujesz! Niby kiedy? – obruszyła się.

– Kiedy, kiedy... – przedrzeźniał ją. – Po jaką cholere ci następna kiecka?! Kobieto! Czy tylko te kiecki się dla ciebie liczą? Tylko bluzki, spódniczki, garsonki? Otwórz szafę i zobacz...

Czuła, jak narasta w niej złość. Nie znosiła, gdy stawał się taki zrzędlivy, kiedy wyliczał, przeliczał, analizował. Za każdym razem upokarzało ją proszenie się o pieniądze, ilekroć chciała sobie sprawić jakąś przyjemność. Owszem, miała jakieś zaskórniaki, ale w ich domu dość skrupulatnie prowadziło się rachunki i zaoszczędzenie kwoty, za którą mogłaby poszaleć w butik, graniczyło z cudem.

– No ile? Co ja takiego mam? Stare szmaty, niemodne i byle jakie. A zresztą... – Tym razem postanowiła nie ustępować. Chciała tę sukienkę. Chciała i już! Nie będzie do końca życia znaszać tylko tego, co w szafie. Była kobietą!

Lucjan nagle wstał, gwałtownie odsunął wyglansowaną skórką od chleba talerz i wybiegł do drugiego pokoju. Zaskrzypiały drzwi. Przez chwilę wydawało się, że wyrwie je z prowadnic, że potrząska lustro, które chybotą się, podzwaniając niebezpiecznie.

– Jedna, druga, piąta, dziesiąta... Całe życie tylko szmaty i szmaty! – wołał zza ściany.

Poszła tam za nim. Patrzyła w zdumieniu na ten niewydarzony spektakl. Jedzenie utknęło jej w gardle. Wyglądała teraz niczym karykatura w stop-klatce: z otwartą buzią i zdziwionymi oczami. Jak gapa. Wzrokiem podążała za mężem, ale się nie odezwała. Nie zamierzała kolejny raz udowodniać mu, że wszystkie te wieszaki są pełne rzeczy, których w większości na siebie nie wciągnie, choćby konia do nich przypiąć! Przytyła. Nie jej wina. Szafa rosła przez lata, a jej żal było wyrzucać. Owszem, zdarzało się, że przeglądała ubrania. Odkładała te, które być może jeszcze kiedyś założy, a te, które zdecydowanie były już niemodne – albo też ona była do nich za stara – pakowała do wielkich worków i oddawała do domu opieki. Co lepsze wywoziła do Salki – wiadomo było, że tam się nie zmarnują, bo albo Salka, albo inne pensjonariuszki chętnie stroiły się w jej fatalaszki. Od czasu Lucjana Nina jednak kupowała coraz mniej. Ale teraz niech sobie nie myśli, że kolejną imprezę przepędzi tą samą sukienką, co ostatnio na weselu u kogoś z jego strony. Już tamtą kupiła dawno temu za uciulane pieniądze, a Lucjanowi powiedziała, że to od Asi. I tak nie dał wiary. „Od Asi? Dobrze sobie! Sama ledwie ciągnie, a na suknię dla mamusi daje... Też mi!” – sarknął ironicznie. „A daje! Żebyś wiedział, że daje! – oburzyła się wtedy, broniąc córki. – Zawsze mi pomagała. Tak była wychowana”...

Teraz stała w drzwiach, patrząc, jak Lucjan szarpie za sukienki starannie powieszony w szafie, jak niektóre spadają ze śliskich wieszaków.

Przełknęła kęs i nabrawszy powietrza w piersi, postanowiła przerwać tę żalospną scenę.

– To komunia mojego najmłodszego wnuka! – zaczęła stanowczo i z opanowaniem, choć wewnątrz niej wszystko już dygotało, puszczały wszelkie wiązania, w gardle rosła gula.

– Komunia, komunია! Zawsze coś wymyślisz! Komunია! – powtarzał, z hukiem dosuwając drzwi szafy. – Teraz komunია! Ostatnio święta! A co, to trzeba co chwilę kupować nowe ciuchy na tyłek?!

– Nie zamierzam iść tam jak jakaś dziadówka. A poza tym to komunია...

– I co z tego?! – przerwał obcesowo, doskakując do niej. – Kobito, zlituj się! – Patrzył wprost na nią, palcami stukając się w czoło. – Przecież to jego komunია, nie twoja! Pewnie nawet nie zauważą, że jesteś! Tylko kasa... Kasa się liczy! A babka?! Potrzebna jak trzecie sznurowadło – dokończył, śmiejąc się sardonicznie.

Po tym wybuchu minął ją i zaczął krążyć w tę i z powrotem po domu, co chwilę wkładając głowę do pokoju i mamrocząc:

– Całego świata ci mało!

Albo, zawróciwszy po kolejnym nielogicznym okrążeniu, dodawał złośliwie:

– Ciekawy jestem, dla kogo tak się stroisz? Może masz już kogoś na oku, co?! Może dla tego dupka? Jak mu tam było? Stefan? Bogdan? – drwił.

A potem znowu to „kobito”.

– Powiedz, zawsze taka byłaś? – rzucił wreszcie drwiąco.

Poraziło ją to pytanie. Cóż miało znaczyć? Że co? Że gdyby wiedział, to co? Co by zrobił? A może szkoda, że nie widział. Że tak krótko trwał ten ich okres narzeczeństwa. Że może potrzeba było więcej czasu. Jej! Nieraz

miewała wrażenie, że zupełnie go nie zna. Ze zdumieniem patrzyła, jak zasypia obok niej.

Milczała. Palcami wodziła po wyschniętych ustach. Jakiś czas temu tak się jej porobiło, że ilekroć się zirytowała, jej wargi z miejsca robiły się suche, ślina zmieniała konsystencję, przybierając postać substancji niemal tak gęstej jak ptasie mleczko. Tylko była bez smaku. Chociaż nie! Miała smak! Była cierpka...

Bolały ją słowa męża. Nie tak miało to wszystko wyglądać. Może rzeczywiście Zyta miała rację, że po śmierci swojego Mariana nie chciała się z nikim wiązać. „Nie mam siły na nowo uczyć kogoś mojego życia”, powiadała.

Ale Nina nie umiała być sama. Wszystko, tylko nie samotne wieczory i ranki... Poza tym bywało inaczej. Niekiedy nawet dobrze.

Teraz w oczach Lucjana znów pojawił się ten dziwny, nieznany jej wyraz. W żaden sposób nie mogła odgadnąć, co znaczy, ale miała wrażenie, że wszystko wewnątrz niej się trzepoce, traci swoją stabilność, że żołądek ściska się i zwija. Nie żeby bolał, ale był niespokojny, roztrzęsiony. Jakoś tak nieprzyjemnie.

Już wtedy wiedziała, że musi wypić kieliszeczek lub choćby małe piwo. To zawsze ją uspakajało. Rozluźniało. Czuła, jak nerwy puszczają, jak całe napięcie ulatuje, jak uchodzi owo skurczenie mięśni, mrowienie przypominające klucie siekających przecinków zmrożonego deszczu.

Potem, po tej dziwnej wymianie zdań, Lucjan wrócił do stołowego (tak nazywali większy pokój niewielkiego mieszkania na Słowackiego) i przestrzeń wypełnił głos krzykliwej, irytującej dziennikarki, która nawet w nadejściu deszczu upatrywała sensacji, intonując dramatycznie i przybliżając się do kamery.

Nina kilka razy nabrała głęboko powietrza, by choć trochę wyciszyć organizm. A potem oświadczyła:

– Wychodzę!

Wychyliła się zza drzwi i rzuciła okiem w stronę męża. W wyciągniętej ręce trzymał pilota. Jakby myślał, że te kilkadziesiąt centymetrów – długość ramienia – cokolwiek zmieni.

– Wychodzę! – powtórzyła z naciskiem.

Chyba usłyszał, bo machnął nieznacznie dłonią, nie odwracając nawet głowy, i pogłośnił odbiornik.

– Idę do Zyty! – podniosła głos, żeby przekrzyczeć dźwięk z głośnika.

Czekała, aż ją zatrzyma. Już w pełnym rynsztunku przemaszerowała kilka razy przez pokój, pod byle pretekstem otwierając szuflady komody, w której nie było niczego, co byłoby jej potrzebne. Kątem oka widziała, że ją obserwuje, ale uparcie stał w rozkroku, na środku pokoju, wciskając kolejne przyciski na pilocie.

– Nie wiem, kiedy wrócę... Jakby co, w lodówce jest zupa z wczoraj, to sobie odgrzejesz...

– Jasne! Sam sobie ugotowałem, to sam sobie mogę przygrzać – burknął pod nosem.

– Proszę? – Nina zastygła w bezruchu z nadzieją, że mąż chce ją zatrzymać.

– Nic! Idź! Do Zyty, do Asi... do diabła... – Ostatnie słowa wypowiedział ciszej, właściwie tylko poruszył ustami, jakby zmęczył go już własny wybuch wściekłości.

Wyglądał żałośnie. Jak stary człowiek. Nina pomyślała, że nawet swojego ojca nie pamięta takiego.

– To idę.

Na ekranie pojawiły się kolejne obrazy. Lucjan nie zmienił pozycji. Widziała tylko, jak w ciężkim oddechu unoszą mu się ramiona. Szerokie i silne, choć nie była to już taka sztywna rama jak dawniej, znać było lekkie przygarbienie, uwypuklony kark i delikatnie skłonioną ku przodowi głowę. Był skurczony, biologicznie zapadnięty. Nawet widząc tylko plecy, trudno byłoby się łudzić, że ma się do czynienia z młodzieńcem. Lucjan był autentycznie stary.

Postała jeszcze chwilę w nadziei, że mąż się obróci, że ją zawoła, że przeprosi. Jan by tak zrobił... W lustrze zobaczyła jednak, jak Lucjan ciężko opada na kanapę. W tej sytuacji musiała wyjść. Nie będzie przecież rzucała słów na wiatr. Gula w jej gardle wciąż rosła. Nina śliniła palce i przesuwiała nimi po spierzchniętych wargach. Wszystko miała drętwe i zeszywniałe, była pewna, że nie zdoła z siebie wydusić żadnego wyraźnego słowa, co najwyżej jakiś chaotyczny bełkot. Potrzebowała świeżego powietrza i przestrzeni, by odzyskać rezon.

Ciszę na klatce schodowej zakłócało tylko stukanie jej butów. Zerknęła na drzwi sąsiadów, sprawdzając, czy w judaszach nie widać ciekawskich oczu. Wszystkie jednak przepuszczały światło, co oznaczało, że nikt jej nie obserwuje. Zresztą o tej godzinie wszyscy byli w pracy. Na przestrzeni czasu wiele się tu pozmieniało. Ci mieszkańcy, którzy wprowadzili się do bloku w latach siedemdziesiątych – tak jak ona z Janem – w większości już powymierali, a na ich miejsce przyszły dzieci, wnuki, które też raczej same tu nie mieszkały, częściej wynajmowały lokale firmom. Blok był w doskonałej lokalizacji – wszędzie blisko, a jednak nieco na uboczu, z dala od miejskiego gwaru.

Nina – jakby w nadziei, że zobaczy w oknie męża – zadarła głowę. Przez chwilę wydawało się jej, że firanka się poruszyła i czai się za nią Lucjan, ale to pewnie był kwietnik, na którym rośliny gęstwiły się i rozrastały, tworząc wielką zieloną piramidę.

– Dzień dobry, pani Jasiu! – zawołała Nina.

W markecie było kilkoro ludzi pojawiających się i znikających między regałami. Szereg kas ciągnął się nieruchomo, a srebrne łańcuchy pomiędzy nimi broniły dostępu na teren hali sprzedaży. Tylko jedna była czynna – kasjerka przy niej beznamiętnie układała bilon w kasecie.

Na stoisku ze słodyczami i alkoholem pani Jasia ważyła ciastka oraz cukierki w kolorowych, szeleszczących papierkach. Nina minęła kasy i poszła w jej kierunku.

– Poproszę kawę – powiedziała. – Obojętnie jaką, byle rozpuszczalną. Dwie paczki moich papierosów. Z pięć plasterków szynki...

Ekspedientka spojrzała na nią zdziwiona, unosząc wysoko wyrysowane kredką brwi, bo przecież szynka i w ogóle wędliny to nie jej parafia.

– Oj! Co ja mówię! – zmitygowała się Nina. – Z piętnaście deko tych ciasteczek. – Wskazała palcem na gablotę, za którą w kartonach leżały różne łakocie, celując w zupełnie przypadkowe.

Kobieta w czerwonym fartuszku i opasce, umocowanej we włosach srebrnymi wsuwkami z rzędem cyrkonii, wykladała na ladę zamówione towary i czekała na kolejne dyspozycje. Dobrze wiedziała, że za chwilę będzie musiała przejść na koniec stoiska i schylić się pod kontuar, gdzie w równym rzędzie poustawiano „szczeniaczki”. Chwyci Żołądkową z miętą. Najpierw jedną, ale zaraz jeszcze drugą... Nie raz i nie dwa już to robiła.

Na razie jednak wprawnymi ruchami nabijała na kasę towary, szmerząc pod nosem wyuczone kody.

– I... i... – Nina jak zwykle się zawahała, ale zaraz wzięła się w garść i z tą samą kiepsko udawaną wstydlivością rzuciła niczym wyuczoną frazę: – Jedną... a może jednak dwie te małe buteleczki...

– Zielonej – wtrąciła orzekająco Jasia. – Tej co zwykle, znaczy się.

Nina wykrzywiła usta w próbie wyrysowania szczerego uśmiechu. Odkaslnęła. Nie podobały jej się słowa sklepowej. Cóż znaczy: „zwykle”? A to ona jakaś pijaczka? Co to „zwykle” kupuje flaszki wódy? Powinna zrobić awanturę tej babie! Bezczelne insynuacje! Jakie ona ma prawo? A w ogóle co ją to obchodzi?

Ale zamiast tego odchrząknęła raz i drugi, ponownie wyduła wargi w nienaturalnym uśmiechu i rzekła idiotycznie:

– Męża coś żołądek boli. Już i krople brał, i tabletki... Wie pani, jakie to chłopcy odporne są. Byłe co, a zaraz to angina, to grypa żołądkowa... A mój mąż... znaczy ten obecny... to taki delikatny... Mówię pani, jakiś taki błękitnokrwisty... – Nina klepała trzy po trzy.

– Trzydzieści cztery pięćdziesiąt. – Pani Jasia jedną ręką przebierała na kasie, a drugą już podawała zakupy. – No patrz pani! Jeszcze się francowata kasa zacięła... Już drugi raz dzisiaj! Pewnie kolejny chiński bubeł!

Dłoń zwinięta w kułak łomotała po szarej obudowie, a Nina, kątem oka zerkając, czy nikt nie widzi, chowała butelki do torby.

– Pani jeszcze je tu zostawi! – zreflektowała się Jasia. – Pani nie chowa! Nie wiem, czy się zapisało, czy trza będzie wszystko od nowa...

Na szczęście kasa okazała się nader łaskawa i już po chwili spod tylnej klapki zaczął się wić paragon, a na nim między innymi: „Gorzka, miętowa 200 ml – 2”. Nina go chwyciła, zwinęła w kulkę i od razu rzuciła do

stojącego przy wyjściu kosza. Gdy tylko drzwi się rozsunęły, wypadła z marketu, wciąż spoglądając, czy na pewno nikt jej nie widział.

Szła, trzymając rękę w torbie. Ścisnęła szyjkę małej flaszki. Raz – żeby się nie potłukły, objając się o siebie, dwa – bo poczuła, jak butelka się ogrzewa, a to ciepło jak w zamkniętym obiegu przepływa przez jej ciało, powodując, że robiło jej się lepiej, że zniknęło napięcie, sztywność ruchów, że ślina znów miała właściwą konsystencję. Chociaż jednocześnie w Ninie wzmagano się niecierpliwość, by odkręcić zieloną nakrętkę, usłyszeć znajomy dźwięk, obwieszczający, że droga do ukojenia stoi przed nią otworem. Jeszcze tylko znajdzie właściwe miejsce i poczuje, jak ciepła miętowa ciecz rozlewa się w niej, przynosząc upragnioną ulgę. I zaraz się okaże, że wszystko jest do przebrnięcia. Że da się żyć.

– Dzień dobry, pani Nino! Co tam słyhać u szanownego męża? – Głos sąsiadki z bloku naprzeciwko wyrwał ją z zamyślenia.

Nina puściła szyjkę i strzepnęła dłoń jak przyłapaną na gorącym uczynku. Butelki zadzwoniły w torbie. Zmieszała się nieco, ale zaraz spojrzała w kierunku Dubieńskiej.

– A dziękuję, dobrze – odpowiedziała.

Już chciała odejść, lecz kobieta przystanęła, zmuszając tym samym Ninę do zatrzymania się, i rzucając oczami na boki, jakby sprawdzała, czy nikt jej nie podsłuchuje, zaczęła tym swoim plotkarskim tonem:

– Bo wie pani, ludzie gadają, że ten pani mąż to tak dobrze sobie wykombinował, żeniąc się z panią... Wie pani, chłop sam to mało kiedy da sobie radę w życiu... A on co!

– Pani Krystyno, dałaby już pani spokój. Pani i te pani koleżanki. – Nina obrzuciła ją karcącym spojrzeniem i podniosła głos: – Doprawdy, nie macie się czym zajmować, tylko cudzym życiem? – Czuła, jak narasta w niej wściekłość na te głupie baby, które od czasu jej zamążpójścia

wymyślały coraz to nowe intrygi i knowania. Wiedziała, że to przez ludzką zazdrość, co to nie pozwala spać w nocy, jeśli istnieje choć cień podejrzenia, że komuś może być lepiej. A wszystko wskazywało na to, że Nina w rzeczy samej chwyciła Pana Boga za nogi, kiedy Lucjan zaczął zabiegać o jej względy. Inteligentny, powiadali, wykształcony. Znał wielu ludzi „ustosunkowanych”, „bywał tu i tam”.

Z początku, zaraz po śmierci Jana, Nina wzdrygała się na samą myśl, że mogłaby jeszcze ułożyć sobie życie z innym mężczyzną, chociaż dość łatwo przyszło jej pogodzenie się ze śmiercią męża. Jan nie był do rany przyłóż, jednak przez tyle lat człowiek przywykł. Dawno już zapomniała o swoich młodzieńczych wyobrażeniach, kiedy to widziała siebie u boku przystojnego, bogatego mężczyzny o urodzie filmowego amanta. Taki Clark Gable, Gregory Peck albo Cary Grant! Ileż to razy czuła się kobietą w ich objęciach! Z czasem jednak tak się do siebie przyzwyczaili, tak się nauczyli siebie, że było całkiem, całkiem znośnie.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

II
Ja – Joanna

Dostępne w wersji pełnej